

W Żyrzynie na Wysoczyźnie Lubartowskiej, (-) w przeddzień Międzynarodowego Dnia Kobiet, (-) językoznawcy urządzili superważne kolokwium, którego celem było zwalczanie wszelakiej werbalnej agresji. Niemający równych sobie profesor Zachariasz Koziół, charyzmatyczny acz chimeryczny gdańszczanin, na co dzień znawca etycznej komunikacji, przewodził przedsięwzięciu z iście arystokratycznym zadaniem.

Pragnąc oczyszczenia języka z brutalności, przede wszystkim zawzięcie tropiono: wyrazy prymarnie obraźliwe, np.: (na przykład:) matoł, bachor, bździągwa; słowa sekundarnie obraźliwe, funkcjonujące jako metafory lub neosemantyzmy, np.: klępa, fujara, żmija; degradujące collectiva (kolektiwa) typu: hołota, motłoch, swołocz, o których również nie zapomniano.

Wśród uczestników nie brakowało osób o zróżnicowanym spojrzeniu na komfort językowy. Chociażby panna Kowalówna, choć z początku nieufna, z czasem zachnęła się z rozbawieniem, słysząc, jak profesor, deprecjonując inwektywy, proponuje niecenzuralne słowa zastąpić wykrzyknieniami przyrodniczymi, np.: „rzeżucha!” (rzeżucha!) zamiast „cholera!” (cholera!) lub „kszyk nieopierzony” (kszyk nieopierzony!) zamiast „do licha!”. (do licha!)

Nowatorskim postulatem była także całkowita eliminacja żółci z debaty publicznej, co wymagało nie lada wstrzeźliwości. Hołubiono wzorce uprzejmej retoryki, promowano hierarchizację wypowiedzi według nasycenia szacunkiem. Młody, (lub bez przecinka) dwudziestotrzyipółletni językoznawca z Półwyspu Jutlandzkiego nawoływał: „Wyciągnijże z siebie resztki pogardy i zacznij słuchać, nie tylko mówić!”.

Choć nie obyło się bez prób przekłamania celów projektu przez próżniaczych blogerów, przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Zwieńczono je huczną debatą nad Jeziorem Rożnowskim, gdzie temat eufemizmów wzbudził taką ciekawość, że nawet biało-czarna piegża w okamgnieniu przysiadła na świeżo malowanej balustradzie, jakby chciała podsłuchać profesjonalnych wynurzeń na ten temat.

W Żyrzynie na Wysoczyźnie Lubartowskiej, w przeddzień Międzynarodowego Dnia Kobiet, językoznawcy urządzili superważne kolokwium, którego celem było zwalczanie wszelakiej werbalnej agresji. Niemający równych sobie profesor Zachariasz Koziół, charyzmatyczny acz chimeryczny gdańszczanin, na co dzień znawca etycznej komunikacji, przewodził przedsięwzięciu z istic arystokratycznym zadęciem.

Pragnąc oczyszczenia języka z brutalności, przede wszystkim zawzięcie tropiono: wyrazy prymarnie obraźliwe, np.: matoł, bachor, bździągwa; słowa sekundarnie obraźliwe, funkcjonujące jako metafory lub neosemantyzmy, np.: klępa, fujara, żmija; degradujące collectiva typu: hołota, motłoch, swołocz, o których również nie zapomniano.

Wśród uczestników nie brakowało osób o zróżnicowanym spojrzeniu na komfort językowy. Chociażby panna Kowalówna, choć z początku nieufna, z czasem zachnęła się z rozbawieniem, słysząc, jak profesor, deprecjonując inwektywy, proponuje niecenzuralne słowa zastąpić wykrzyknieniami przyrodniczymi, np.: „rzeżucha!” (rzeżucha!) zamiast „cholera!” lub „kszyk nieopierzony” zamiast „do licha!”.

Nowatorskim postulatem była także całkowita eliminacja żółci z debaty publicznej, co wymagało nie lada wstrzemięźliwości. Hołubiono wzorce uprzejmej retoryki, promowano hierarchizację wypowiedzi według nasycenia szacunkiem. Młody, dwudziestotrzyipółletni językoznawca z Półwyspu Jutlandzkiego nawoływał: „Wyciągnijże z siebie resztki pogardy i zacznij słuchać, nie tylko mówić!”.

Choć nie obyło się bez prób przekłamania celów projektu przez próżniaczych blogerów, przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Zwieńczono je huczną debatą nad Jeziorem Rożnowskim, gdzie temat eufemizmów wzbudził taką ciekawość, że nawet biało-czarna piegża w okamgnieniu przysiadła na świeżo malowanej balustradzie, jakby chciała podsłuchać profesjonalnych wynurzeń na ten temat.